

Drapieżcy

Drapieżcy

Rozdział V wrzesień

Przedłużająca cypel łacha kończyła się: Jej piaszczyste zbocze schodziło stromo w dół. Płynący od zachodu szczupak, wciąż trzymając się tej samej głębokości, skręcił na północ, do zatoki. Trochę dalej dno już przykrywał rogatek. Płycizna raziała chłodem. Stał odrętwiały, by wyrównać różnicę temperatur. Na przeciwległym krańcu zatoki poczęło krzątać się wodne ptactwo. Słyszał je, jak i dobiegający ze wschodniego obrzeża trzask łamanych trzcin. Tam z kolei musiał grasować jakiś przybysz z ładu. W bezpośredniej okolicy panował spokój. Od czasu do czasu śmigały jedynie wszędobylskie okonki. Drapieżca, zrównawszy ciepłotę ciała z otoczeniem, powoli przesunął się w głąb wypłylenia. To było dobre łowisko. Trzeci dzień czuwał opodal, każdego ranka zasadzając się na żerujące tu płocie. Niebawem powinny nadciągnąć. Jak wczoraj i przedwczoraj.

Przybył wcześniej, aby ukryć się w najdogodniejszym miejscu – wśród rdestnic. Za nimi, w stronę północnego brzegu, ciągnęły się tylko grązele. Wschodni cypel zatoki rozjaśniało słońce. Jego przymglone promienie dotarły wkrótce i pod brzeg zachodni, z wolna obmywając całą zatokę. Nad wodą pojawiły się ożywione owady. Coraz śmieiej zaczął ujawniać swą obecność i narybek. Również oczekujący stada płoci drapieżca podpłynął wyżej. Nadal maskowały go wierzchołki wybijającej rdestnicy, a mógł przy okazji wygrzewać grzbiet. Ledwie zmienił miejsce, gdy linia boczna odebrała niewyraźny sygnał. Zbliżały się sunące luźnym szykiem ofiary. Póki co dzieląca odległość była jeszcze spora. Nagle drgnął, zaskoczony cieniem od słońca. Coś dużego przemknęło nad jego głową. Skupiony na przyszłej zdobyczy trochę zlekceważył własne bezpieczeństwo. Uważnie przyjrzał się zagrożeniu, popadając w rozterkę. Nad wodą kołował bielik. Co prawda dość wysoko. Ostatecznie silniejszy od głodu lek pchnął szczupaka na północ, w strefę grązeli. Płociami zajmie się potem.

Szybujący wokół zatoki birkut ujrzał podwodnego drapieżcę odrobinę za późno. Teraz, gdy sam został dostrzeżony, szansa ataku przepadła. Co nie oznaczało, że przepadły szanse następne. Wszak widział, w którą stronę duża ryba ruszyła. Zatem być może wystarczy, iż zniknie na pewien czas z jej pola widzenia. Niejednokrotnie przechytrzał w ten sposób swoje ofiary. Bielik, domknawszy kolejny krąg, obniżył pułap nad wschodnim cyplem zatoki i wolno usiadł na wysuniętej gałęzi olchy. Wizja pozyskania szczupaka bardzo go podnieciła. Dawno już nie jadł ryby. A mógł się o nią pokusić, bowiem prawe przedramię doskwierało coraz rzadziej. Niewielki północnowschodni wiatr spychał pozostałości oparów na południe. Zasłonięte mgłami lasy przeciwnego brzegu zlewały się z linią widnokregu tak, że nie sposób było odróżnić jeziora od nieba nad horyzontem. Za to dobrze widział swoją wyspę i gromadzące się wysoko kłębiaste chmury. Birkut rozglądał się trochę niecierpliwie, wciąż mając przed oczami obraz szczupaka. Wreszcie nie wytrzymał i zeskoczył z gałęzi, powoli nabierając wysokości. Początkowo wzbijał się nad wschodnią częścią zbiornika i dopiero wyniesiony wstępującym prądem wrócił w stronę zatoki. Nie powtórzy uprzedniego błędu i nie zdradzi obecności, póki nie nadejdzie pora.

Tymczasem znękany głodem i reumatycznymi bólami wilk penetrował nabrzeże. Minionej nocy po raz pierwszy okolicę ściał przymrozek. Zamarzły zroszone pajęczyny, nisko ugięły się pod ciężarem szronu trawy i turzyce. Towarzyszący kuśtykaniu basiora chrząst skutecznie przepłaszał potencjalne drobniejsze ofiary. Choć w tym chłodziu i tak niewiele się ich ruszało. Z ulgą wszedł do wody obok trzcin. Była cieplejsza od powietrza. Skoro zaszyły się gdzieś odrętwiałe z zimna żaby, na które liczył, musi poszukać czego innego. Niechby i padliny. Czegokolwiek, co nadawałoby się do oszukania

zołądka. Owszem, wkrótce coś znalazł. Tkwiący ha płyciznie szkielet tracza. A właściwie fragment szkieletu – trochę kręgów szyjnych z czaszką, pas barkowy i podudzie. Zawahał się nawet, lecz nie tknął znaleziska. Kości były stare, wypłukane i częściowo zarośnięte glonami. Lekki wiatr mocniej trącił sunący powierzchnią wody puch. Wilk szarpnął w tę stronę łbem tak gwałtownie, że tracąc równowagę przewrócił się na bok. Wstał z pewnym trudem, wypłuł wzięte za płynącą mysz piórko i otrząsnąwszy sierść ruszył przed siebie. Dotąd z żywych stworzeń w zasięgu skoku ujrzał jedynie karczownika. Tylko ujrzał. Zawiodły też wszystkie stałe punkty, gdzie czasem trafiały się jakieś resztki – w tym płaski kamień: miejsce posiłków wydry. Węszył i szperał dalej, ale z wciąż malejącą nadzieją. Odwiedzi jeszcze brzeg zatoki i wróci do lasu. Może później, gdy odpocznie, wznowi poszukiwania. Przeciął wschodni cypel, by znów zmoczyć nogi w ciepłej wodzie, co przynajmniej na chwilę – łagodziło kręcenie w stawach. Lecz pobieżna penetracja obrzeża zatoki także nic nie dała. Zawiedziony już obracał się w stronę lasu, gdy wzrok przykuły dobrze znane manewry bielika. Potężne ptaszysko, ściągawszy skrzydła pikowało nad grązelami. Niebawem ogarnęła wilka zazdrość. Gwałtownie przełknął ślinę. Birkutowi się powiodło. Wyrwał spomiędzy grązeli i dźwigał, a przynajmniej usiłował dźwigać, okazałego szczupaka. Wleczona nad powierzchnią wody ryba wyraźnie ściągała napastnika w dół. Wyglądał na to, że bielik nie ma szans wynieść ryby wyżej. Zdziwioy basior nie dowierzał oczom. Już kiedyś, w podobnych okolicznościach, udało mu się raz odbić zdobycz birkutowi. A w tej chwili powietrzny łowca znów zmierzał wprost na niego. Mięśnie wilka stężały w ułamku sekundy.

Bielik czuł, że długo ryby nie utrzyma. Nadzieją było tylko szybkie wyniesienie łupu na brzeg. Spłoszony nagłym widokiem basiora rybę wypuścił, natychmiast skręcając. Lecz, nie powiodło się ani jedno, ani drugie. Wprawdzie rozluźnione palce zdrowej stopy odrzuciły szczupaka, jednak whaczone pod kręgosłupem ryby dwa pazury drugiej puścić nie chciały. Rozchwiany wierzgającą ofiarą mocniej uderzył skrzydłami. Wówczas w prawym przedramieniu coś strzyknęło. Runęli do wody jednocześnie – i spadający z wyłamanym skrzydłem birkut, i wilk, któremu źle mierzony skok nie wyszedł. Co nie miało znaczenia, gdyż i tak wylądowali na sobie. Pierwszy otrząsnął się szczupak, próbując odzyskać swobodę krótkimi, acz gwałtownymi zrywami. I byłby celu dopiął – mimo odnowionych urazów kręgosłupa – gdyby nie przygniatające z góry wilcze łapy. Podtapiany basior daremnie usiłował odbić się od dna i rzucić z siebie oszalałe ptaszysko. Natomiast bielik, wciąż uwięziony rybą i wypychany ku górze przez basiora, tłukł dziobem na oślep, często trafiając wypierającego to w kark, to w głowę. Wreszcie udało się wilkowi wynurzyć. Teraz on przyduszał orła, który – nie mogąc zaczerpnąć powietrza jednym z rozpaczliwych zrywów wbił się szponami prawej stopy w jego gardło, przerażony basior szarpał rozwartym pyskiem w lewo i prawo. Nawet nie wiedząc kiedy rozpruł szczupakowi brzuch, a potem zacisnął szczęki u nasady trzepoczącego skrzydła birkuta. I chociaż każdy z trójki pragnął tylko oswobodzenia się od reszty, żaden nie mógł tego dokonać.

Przybrzeżne wypłylenie nadal tryskało strugami rozbryzgiwanej wody. Jednak miotający się w śmiertelnym zwarciu drapieżcy powoli słabli.

Koniec.

Lech M. Jakób